ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 4-go Listopada 1897. Nr. 44.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WZGARDZONA.

Obrazek z XVII wieku przez Sta.

(Ciąg dalszy.)

Gdy się wieść o tem rozniosła po Godowie, wszyscy mieszkańcy wioski odwrócili się ze zgrozą od Terki. Dziewczęta nie chciały się z nią bawić, swawolne chłopaki ciskały na nią błotem i kamieniami, dzieci uciekały od niej z krzykiem z daleka, a starsze kobiety spluwały, przechodząc około sieroty.

A tu, jak na nieszczęście, dał Bóg biedaczce serce tkliwe, kochające wszystkich ludzi serdecznie, i spragnione miłości innych. Garnęła się więc niebogą do wszystkich domowników, a najbardziej do stryja, którego mimo jego obojętności kochała z całej duszy; lecz odpychana zawsze zimnem słowem, szorstkiem obejściem, stała się bardzo nieśmiała, z każdym dniem smutniejsza i rada uciekała z domu, do sadu lub na ulicę.

Skoro się jednak pokazała na wsi, starsze dzieci, mianowicie chłopcy, chwytały co im wpadło w rękę i rzucając tem na Terkę, krzyczały:

— Czarownicy córka! czarownicy córka! Dalej ją, dalej! Ona już też pewnie z djabłem trzyma.

Serce się krajało sierocie z żałości i bólu, pokazać się pomiędzy ludźmi nie mogła, a skoro szła po wodę, lub w pole, ścigały ją zniewagi i wyzwiska. Stryjenka zaś pędząc dziewczę od roboty do roboty nie szczędziła również łajań i wymówek. Nie było spokojnego kąta dla biednej Terki w całym Godowie.

Razu pewnego, gdy wysłana po wodę, szła do rzeki, jakiś chłopak zranił sierotę dość ciężko w głowę kamieniem, naśmiewając się z niej niemiłosiernie. Terka pobiegła z płaczem do domu, i rzuciwszy się do nóg stryja, mówiła z łzami:

— Ach! stryju kochany, ratujcie mnie, nie dajcie... Mnie tu tak wszyscy nie cierpią... uciekają przedemną, rzucają kamieniami... Ja się boję wyjść na drogę, ja...

— Ano, to siedź w domu, a nie łaź po próżnicy — przerwał Mateusz niezadowolony.

— Kiedy i w domu... mnie tak tęskno, tak smutno... mnie tak źle... — mówiło dziewczę, nie wiedząc jak to wypowiedzieć, co ją bolało, czego pragnie.

— Jeszcze ci źle?! — wybuchnął z gniewem stryj. — Czego ty chcesz, utrapione stworzenie? Czy się to u mnie nie najesz, czy nie chodzisz obleczona? Czego ci więcej potrzeba?

— Mnie o jedzenie, ani o szaty nie chodzi... tylko... ja was tak kocham, stryju najmilszy... Ja bym... ja was... — i wybuchnęła gwałtownem łkaniem, całowała nogi Mateusza i tuliła się do nich.

Połonka zniecierpliwił się do reszty; odsunął niechętnie od siebie Terkę i rzekł:

— Skaranie Boskie z dziewuchą! Ja tam takich ceregieli nie lubię. Zamiast tych beków, lepiejbyś oto wzięła się do roboty. Stryjenka się skarzą, żeś do niczego. Macioś oto sobie nos rozbił i okrwawił się, Józka rozdarła nowy fartuch, żebyś dzieci pilnowała wolałbym, niż że mnie tu za nogi chwytasz i całujesz. Idźże już sobie.

— Zrobię, jak każecie, stryju kochany, jeno mi pozwólcie... — jęknęła Terka, całując rękę Mateusza; lecz on wyrwał jej dłoń brutalnie i zawołał z niecierpliwością:

— Daj mi raz pokój i ruszaj do dzieci, albo do roboty, leniwcze!

Terka, nic już nie mówiąc, powstała z kolan, otarła łzy i wyszła z izby, myśląc sobie, że skoro będzie bardzo pracowała i z oka nie spuszczała dzieci, może stryja zadowolni i zjedna sobie, może nie będzie już tak niechętnie na nią patrzał, może dobre słowo kiedy powie, może nawet pochwali.

Terka nie była nigdy leniwą, przeciwnie, pracowała zawsze pilnie i chętnie, lecz teraz przeszła sama siebie; wytężała wszystkie siły, przeciążona była pracą, dziećmi opiekowała się, jak najczulsza matka, odpowiadała za wszystkie ich wybryki, ale niestety daremne były te wysiłki sieroty.

Mateusz nie miał zwyczaju prawić miłych, dobrych słówek, nigdy go też jeszcze nikt nie zadowolił, żadne starania, żadna praca nie była dostateczna dla niego; więc też starania Terki były bezskuteczne; stryj na nią nie patrzał, chyba chmurnie, nigdy nie przemówił słowa, chyba żeby ją złajać, nie uważał na nią, jakby sieroty wcale w domu nie było.

Do tej wrodzonej obojętności Połonki, przyczyniała się jeszcze Idkowa, która jak mogła usuwała dziewczę z przed oczu stryja i o ile zdołała starała się zniechęcić go ku Terce.

— Co mnie tam do czyjego dziecka — myślała sobie samolubna kobieta — mam ja dość swoich i o nie się muszę kłopotać. Połonka bogaty, trzeba koło niego chodzić; grosza u niego sporo w skrzyni, komu go ostawi? Może dać moim dziewuszkom posagi, a gospodarstwo przejdzie na Tomka i na Maciosia! Mam oto o czem myśleć, gdzie mnie tam cudzą dziewuchą zaprzątać sobie głowę.

Mówiąc sobie tak często w duszy, drzała Idkowa, aby zaś Mateusz nie chciał wyposażyć także Terki, którą nienawidziła serdecznie, jako kandydatkę do pieniędzy stryja. Postanowiła więc wszystko uczynić, aby dla swoich dzieci zjednać Mateusza; w tym celu nadskakiwała mu, dogadywała, dogadzała, ciągle mówiła o dobroci i miłości dla niego swoich dzieci, wysuwała je naprzód, Terkę zaś trzymała jak najdalej od stryja.

Ponieważ Połonka najwięcej w polu i podwórzu przebywał, więc tam zawsze zastawał przy robocie Tomka i Kachnę; na Terkę natomiast włożyła Idkowa całą domową robotę; wszystkie kobiety wiedzą, jaka to ciężka, zmudna i niewdzięczna, bo jej prawie nieznać, owa domowa praca. To też lubo Terka pracowała w domu całe dnie, nigdy niby nic nie robiła.

Nawet od wspólnej miski musiała ją odsadzić przebiegła stryjenka wymyślając zawsze w czasie jedzenia jakieś pilne dla Terki zajęcie; Połonka zaś wcale na to nie zważał, zdawało się, że zapomniał o istnieniu sieroty. Z czasem więc przyszło do tego, że Terka żywiła się resztkami niedojedzonych potraw, spała w kuchni za piecem na garści barłogu, a odziewała się staremi łatami i szmatami, pozszywanemi swojemi pracowitemi rękoma.

Ciężki żal ściskał serce dziewczęcia odepchniętego przez wszystkich; najbardziej przecież bolała nad tem niebога, że stryj zawsze na nią zamroczony, a odzywa się tylko do niej, aby ją zburczeć za psoty Maciosia i Józki, lub robić niesprawiedliwe zarzuty, że jest leniuch i niedbaluch.

— Przecie to jeszcze głupie dzieci — mówił Mateusz, gdy które z nich zrobiło jaką szkodę. — Ale ty Terka jesteś dosyć stara; jeno co ich masz pilnować, to ty łazisz po kątach, byle próżnować.

Mimo tej niesprawiedliwości, nie mogła jakoś Terka przestać kochać stryja, chociaż żal, boleść i gorycz wraz większą czuła w sercu dla niego; Idkowej zaś i jej dzieci prawie cierpieć nie mogła; z każdem dniem niechęć, gniew i oburzenie wzrastały w jej duszy ku nim. I byłaby pewnie zła kobieta wyrosła z opuszczonego i przez wszystkich wzgardzonego dziewczęcia, gdyby Pan Bóg nie był wejrzał na dolę sieroty.

Terka miała już rok trzynasty, gdy pierwszy raz, poszła do spowiedzi, bo Idkowa zawsze mówiła, że to takie nierozgarnione i głupie. Dopiero na żądanie księdza proboszcza pozwolił Połonka chodzić sierocie na naukę religii św., która wielkie zrobiła wrażenie na bystrym umyśle Terki. A gdy nadszedł dzień pierwszej Spowiedzi i Komunii św., znalazło opuszczone dziewczę to, czego tak bardzo pragnęło.

Kapłan w spowiednicy powiedział Terce, że wszystkich sierót i opuszczonych ojcem jest Bóg, że On patrzy na serce, na dobrą wolę człowieka, na gorliwe usiłowania, a prędzej czy później wynagrodzi wszelką pracę, wszelki trud i cierpienie, byle były w Jego Imię podjęte z miłości ku Panu Bogu znoszone cierpliwie. Nad to powiedział kapłan, słuchającej go z bijącem sercem sierocie, że w cierpieniu powinien człowiek spoglądać na Pana Jezusa ukrzyżowanego, który, choć niewinny, okrutnie cierpiał za nasze grzechy; a dalej, że Jezus jest Obrońcą i Opiekunem wszystkich uciśnionych.

Nauki te niewysłowioną pociechą napełniły duszę sieroty, wlały słodki balsam na rozranione jej serce; już ona teraz nie czuła się samą, opuszczoną, biedną, odepchniętą; miała przecież Ojca w niebie, sam Bóg i Pan nad pany był jej Opiekunem, czyż mogła się czuć jeszcze nieszczęśliwszą? Od tego też dnia zmieniła się Terka bardzo; nie czuła już nienawiści do Idkowej i jej dzieci, a żalu do stryja; pracowała pilnie i wesoło, choć jej nigdy nikt nie pochwalił; ale ona wiedziała, że Ojciec niebieski na nią patrzy i kontent jest z jej pracy, gdy zrobi wszystko, co jest w jej mocy; nie pragnęła już tak bardzo miłości ludzkiej, bo czuła, że ma Przyjaciela w niebie, który ją bardzo kocha i nietylko nie pogardza biedną sierotą, ale nawet pragnie, aby i ona Go kochała.

Jakież to szczęście dla biednego serca ludzkiego!

Kiedy wielki smutek, lub tęsknotę uczuła Terka, lub doznała niesprawiedliwości od stryja, nienawistnego prześladowania od Idkowej, zniewag od ludzi, biegła do małej kapliczki przy drodze, gdzie był wizerunek Pana Jezusa, na krzyżu umierającego; tam upadłszy na kolana, obejmowała krzyż rękoma, przytuliła do niego głowę i ze łzami skarżyła się i żaliła Panu Jezusowi. A Bóg słuchał widocznie tej sierocej skargi, bo po krótkiej, lecz gorącej modlitwie uspokojona i pocieszona zawsze wracała Terka do domu.

III.

Upłynęło sporo czasu, słońce spuściło się znacznie ku zachodowi a w zagrodzie Połonki spały dotąd snem twardym: Kachna w chłodnej komorze, Terka z dziećmi w cieniu starej lipy. W końcu przecież jakiś sen ciężki jął męczyć sierotę, bo płakała i jęczała we śnie, chciała nawet uciekać, a nie mogła się ruszyć, lecz nareszcie rzuciła tak silnie ręką, że uderzyła w głowę Maciosia i obudziła go.

Chłopiec powstał, przeciągnął się i spojrzał na chatę; przez chwilę stał zdumiony, przestraszony, aż krzyknął przeraźliwie:

— Rety! rety! Terko, patrz ino! Co się to robi, wej! wej! — i jął szarpać dziewczę za rękę ze wszystkich sił i krzyczeć.

Terka zerwała się na równe nogi, otworzyła szeroko oczy, przetarła je kilkakrotnie i stała jak wryta.

Jedna strona chaty, ta właśnie gdzie była kuchnia, stała w ogniu, a drugą połowę obejmowały już dym i płomienie.

Mimo straszliwego widoku, osłupienie Terki nie trwało długo.

— Jezu, o mój Jezu! — zakrzykła i rzuciła się ku domowi, pomyślawszy najpierw o śpiącej w komorce Kachnie.

Lecz Macioś i przebudzona już także Józka uczepili się jej spodnicy i nie pozwolili postąpić ani kroku, wrzeszcząc w niebogłosy.

— Puście! puście mnie; ady puście! bo się Kachna spali! — wołała Terka i odczepiała dzieciom palce; ale co jednemu odczepiła, to drugie tem mocniej trzymało.

— Nie chodź! nie chodź! Ja się tak boję! — krzyczał Macioś, trzymając Terkę z całych sił, a Józka, ukrywszy głowę we fartuch sieroty, zanosiła się od płaczu.

Przerażone, ale przytomne dziewczę, pochwyciło więc dzieci za ręce, przeprowadziła je prędko przez drogę, wepchnęła malców do sadu, zatrzasnęła furtkę i zawoławszy:

— Siedźcie tu, bo się spalicie, jak pójdziecie za mną — pobiegła w skok do palącej się chaty, wpadła do komory i jęła budzić Kachnę.

Lecz ta rozespana i dymem nieco odurzona, nie mogła zrazu pojąć o co chodzi; aż zrozumiawszy nareszcie, że się chata pali, z krzykiem wyskoczyła oknem i nie słuchając co do niej siostra mówi, uciekała na drogę, podczas gdy Terka wołała za nią:

— Bież na pole po ludzi, a krzycz, co możesz, że ogień we wsi. Ja tu choć ze skrzynek powyrzucam przyodziewki, może pieniądze znajdę i wyratuję.

Wioska, jak wiemy leżała w dolinie, otoczona gęstemi sadami, to też ludzie pracujący w polu nie spostrzegli czarnych kłębów dymu, wznoszących się ku niebu. Kachna zaś zamiast usłuchać siostry i zawołać pomocy, usiadła w sadzie przy dzieciach i płakała wraz z niemi, powtarzając raz po raz:

— Ta głupia Terka, gdzie ona siedzi? Żeby się tak spaliła, toby dopiero miała... widziałaby...

Tymczasem Terka, z narażeniem życia, wyrzucała oknem z palącego się domu, wszystko, co znajdowało się w skrzyniach. Wiedziała ona, że w jednej z nich stryj ma pieniądze, lecz nie wiedziała w której, ani gdzie klucze schowane; poodbijała więc wieka toporkiem i do dna wypróżniła wszystkie skrzynie, wyrzucając znajdujące się w nich rzeczy na podwórze.

Dopiero gdy cała chata płonęła jak pochodnia i budynki gospodarcze, oraz sąsiednie domy zajmować się naczęły, widząc, że pomoc nie nadchodzi, wyskoczyła oknem i przez rowy i doły biegła w pole, krzykiem zwabiając ludzi. Już też ten i ów spostrzegł dym i co tchu dążył do wsi, a niebawem ze wszystkich stron zlatywali się ludzie, krzycząc i płacząc; nim się wzięto do ratunku, cała zagroda Połonki i dwie najbliższe stały całe w płomieniach.

Domy w Godowie nie były rozdzielone ogrodami, które leżały po drugiej stronie drogi, lecz tylko małemi przejściami i podworkami, znajmowały się więc szybko jedne zagrody po drugich, a drewniane słomą kryte, w upałach letnich wysuszone budynki, gorzały jak drzazgi; przyrządów do gaszenia nie było, więc choć wody nie brakło, ratunek szedł bardzo nie sporo. To też nim słońce zaszło morze ognia szalało nad nieszczęśliwym Godowem.

Dopiero nad ranem udało się przytłumić zupełnie ogień, ale już trzy czwarte pięknej, bogatej wsi leżały w gruzach. Wiele rodzin było bez dachu nad głową, kilku gospodarzy poniosło wielkie straty, gdyż spalił im się cały tegoroczny zbiór zboża, niektórym nawet sprzęty i odzienie.

Najwięcej przecież był poszkodowanym Połonka, gdyż u niego ani źdźbła nie wyratowano; zgorzało mu wszystko, została tylko ziemia i odzienie które miał przy pracy na sobie; spaliły się bowiem nawet te rzeczy, które Terka oknem wyrzuciła, a z niemi spora sumka pieniędzy, przeznaczona w duszy przez Idkową na posag dla Kachny, przepadła w płomieniach. (C. d. n.)

Słowiańskie wyrazy w języku niemieckim.

Napisał J. Piast.

Niemcy często nam zarzucają, że w języku polskim znajdują się niektóre wyrazy niemieckie; mianowicie o mowie ludowej na Ślązku pogardliwie opowiadają, że to polsko-niemiecka mieszanina, która nie zasługuje na utrzymanie, lecz jak najprędzej według ich życzenia ma zostać wygubioną. Prawda, że język polski i jego narzecza szpecą rozmaite germanizmy, które można by zastąpić swojskiemi słowami, ale zresztą żaden język, chociażby najwięcej pielęgnowany i wykształcony, nie może istnieć bez wszelkich obcych wyrazów. Mianowicie mowa niemiecka ma takowych bardzo wiele, które przybrała od wszystkich sąsiedzkich narodów. Sławny uczony niemiecki Dr. Kleinpaul w ciekawej książce »Das Fremdwort im Deutschen« (Leipzig 1896 str. 176 za 80 fen.) pisze, że Niemcy używają około 70.000 obcych słów. Już każde siódme słowo jest obcego pochodzenia. Miejscami np. w aptece, w teatrze lub w hotelu więcej słyszeć greckich, łacińskich lub francuzkich wyrazów, niż niemieckich; wyrażenia tyczące się muzyki lub śpiewu są wyłącznie prawie włoskiego pochodzenia.

Chociaż Niemcy zwyczajnie się chełpią, że ich mowa tak bogata, często im zabraknie swojskich wyrazów, gdzie Polacy mają piękne i starodawne. Wystarczy tu wymienić niektóre przykłady; w nawiasach znajdują się pierwiastki łacińskie, greckie i t. d. Naród nazywa się »po niemiecku« die Nation (natio), rodzina = Familie (familia), osoba = Person (persona), narodowy = national, kwiecień = April (aprilis), listopad = November (novembris), okno = Fenster (fenestra), piwnica = Keller (celarium), masło = Butter (butyrus), ser = Käse (caseus), warzyć = kochen (coquere), pisać = schreiben (scribere), królewicz = Kronprinz (corona princeps), prochownia = Pulverthurm (pulvis turris). Jeżeli np. przetłómaczymy zdanie: »W uroczystość zielonych świątek miał ksiądz kazanie i uroczyste nabożeństwo z błogosławieństwem«; po niemiecku: »Am Pfingst-Feste (pochodzi z greckiego »pentekostes« i łacińskiego »festum«) hatte (habere) der Priester (presbyter) Predigt (praedicare) und feierliches (ferialis) Hochamt mit Segen« (signum), to w polskiem nie mamy ani jednego obcego słowa, a w niemieckim jest urobionych pięć z łacińskich, a dwa z greckich pierwiastków. »Wuj pisał nam osobiście ciekawy list« brzmi po niemiecku: »Der Onkel (z francuzkiego »oncle«) schrieb (scribere) uns persönlich (persona) einen interessanten (interesse) Brief (breve). Takich przykładów, z których wynika, jak bogaty jest język polski porównany z niemieckim, możnaby jeszcze bardzo wiele przytoczyć. Gdzie Niemcy dla braku odpowiednich wyrazów muszą zrobić pożyczkę u cudzoziemców, tam okrzyczane narzecze górnoślązkie posiada swojskie wyrazy, czasem nawet dwa lub trzy synonimy, przez które jest w stanie osoby lub rzeczy lepiej od siebie rozróżniać. Tak francuzko-niemieckie Onkel daje się przetłómaczyć: stryj, wuj lub swák; Tante = ciotka, stryjenka, wujenka; Neffe (z francuzkiego neveu) = bratanek, siostrzeniec; Kiste (z łac. cista) = skrzynia, pudło; Kirsche (z łac. cerasus) = wiśnia, trześnia; ordentlich (z łac. ordo) = zwyczajny, porządny, stateczny, należycie itd.

Język niemiecki przeważnie przybiera cudze słowa od narodów południowej Europy, które wcześniej się rozwinęły i posiadały obszerną literaturę. Jest to rzeczą naturalną; gdzie powstały lub zakwitły pojedyńcze rzemiosła lub sztuki, tam też zostały urobione dla nich techniczne wyrazy, które się później rozpowszechniły między wszystkimi narodami. Razem z kawą, cukrem, ryżem, arakiem, cygarami lub innemi towarami przywędrowały ich międzynarodowe nazwy.

Już dawno niektórzy uczeni niemieccy np. profesor Grimm, prof. Kuhn,

prof. Foerstemann, dr. Beyersdorff i prof. Schuchard wykazali mnóstwo słowiańskich wyrazów w języku niemieckim. W roku 1894 miał pan prof. dr. Nehring znakomity odczyt w Towarzystwie ludoznawczem w Wrocławiu, gdzie zwrócił uwagę na wpływ słowiański wobec ślązkiej niemczyzny. Byłoby rzeczą bardzo pożyteczną i dla naszej obrony pożądaną, ażeby słowiańscy filolodzy, którym obszerniejsze słowniki i dzieła porównawcze łatwiej są przystępne, niż nam na Górnym Ślązku, owe ciekawe zbiory uzupełnili i podali do użytku ogólnego. Możnaby ztąd wnioskować na postęp kultury w średnich wiekach i wzajemny wpływ sąsiednich narodów. Dla ludoznawstwa i wyjaśnienia stosunków językowych w naszych okolicach takie zbiory i porównania bez wątpienia wielką mają wartość.

Z przykładów, które wyżej wymienieni językoznawcy przytaczali i które łatwo możnaby pomnożyć, tutaj przynajmniej niektóre chcemy podać. Po większej części są to wyrazy z gospodarstwa domowego lub rolnictwa, nazwy pojedyńczych zwierząt, roślin, potraw, części ubioru; inne odnoszą się do życia duchowego lub oświaty ludowej.

Z języka polskiego lub w ogóle słowiańskiego przyjęli Niemcy dla braku odpowiednich swojskich wyrazów rozmaite nazwy dla wozów osobowych lub narzędzi rolniczych np. Die Britschke = bryczka, Droschke = dróżka, Kalesche = kolasa, Kutsche (der Kutscher = woźnica pochodzi od starosłowiańskiego koczować; na Ślązku mówi się jeszcze koczary), Kibitke = kibitka (t. j. rosyjski wóz z płótnem), Trojke = trójka (t. j. rosyjski wóz z trzema końmi), Kummet = chomąt, Peitsche = bicz, peitschen = biczować (bić), traben = drabować (powstało z drapać = auskratzen); Kantschu, Karbatsche, Knute i Batok są pochodzenia rosyjskiego; die Soche, das Ruchadlo i według prof. Grimma der Pflug są pochodzenia słowiańskiego. Die Grenze, dawniej Granze, przerobili Krzyżacy z polskiego granica. Kummet = chomąt poznali Niemcy od Polaków już w 12 wieku; bicz (Peitsche zamiast dawniejszego Geissel) przyswoili sobie w 15 wieku; pierwsze dróżki na początku naszego wieku z Rosyi do Berlina zostały zaprowadzone; w niektórych okolicach przerobili Niemcy nasz wózek na dziwaczny Vosigwagen.

Z kupy albo kopki (kopić) powstała die Koppe (Schneekoppe), z jupy = die Juppe oder Joppe, z obory = die Obore, z kaszy = die Kasche, z kiecki = die Kietzke, z kleczki (klatki) = die Klitsche, z chaty = die Kathe (Käthner = chałupnik), z chałupy = die Chalupe (przy Drezdnie = die Saloppe). »Der Kamin« powstał z polskiego kamień, komin albo z łacińskiego caminus = piec; dr. Kleinpaul powiada, że nawet »Schornstein« nie jest pochodzenia niemieckiego, lecz rosyjskiego: tschornyi stjäna = czarna ściana. Że Kretscham = karczma, Kretschmer = karczmarz, Dolmetsch = tłómacz, Petschaft = pieczątka, pitschen = pić, peitschen, kutschieren... nie są pochodzenia niemieckiego, lecz polskiego, już zdradzają w niemczyźnie nieznane spółgłoski »tsch« = cz. Petschaft powstał w czesko-austryackich urzędach z peczat (pierwiastek = piec); Kretschmer pojawia się dopiero w 14 wieku; dolmetschen = tłómaczyć znaczyło początkowo tyle, co do tłumu (ludu) mówić, wyłożyć, później przełożyć na inny język. Jeżeli kto mówi »lista«, lub »list«, to niektórzy myślą, że to germanizmy (die Liste), a przecież to wszystko pochodzi od staropolskiego listek, liść = das Blatt. Niektóre wyrazy n. p. Dolmetsch, Petschaft, Kutscher, Listy są niby wędrownemi. Chociaż polskiego pochodzenia, dostały się wcześnie między Niemców, którzy je zatrzymali i skaleczyli, tak że teraz, gdy do swoich powracają, nie można ich zawsze poznać. Ze staropolskiego panew (panewka, mała panew = Malapane) powstało = die Pfanne, Bratpfanne, która w Polsce przemieniła się na brytfannę a na Ślązku na brutfannę. Nie pogardzajmy przybyszami, lecz trzeba ich należycie oczyścić z wszystkiego, co ich szpeci.

(Dokończenie nastąpi.)

PTASIE GNIAZDKO.

Opowiadanie przez **Kornela Ujejskiego.**

1.

Jużto nasz Janek, co siedzi na końcu,
Można powiedzieć, że rodził się w słońcu,
Taką miał jasność i w twarzy i w życiu;
Bo choć go ojciec odumarł w powiciu
No, ale matka, niewiasta wspaniała,
Ta mu za siebie i za ojca stała.
Mówiła: Młodam, z czarnemi oczyma...
Nie chcę! i nie dam Jankowi ojczyma;
Ono śmiejące pod piersiami leży,
Anoż je potem chłopisko uderzy!
Mówiła jeszcze: Rzetelne wdowieństwo,
To jakby drugie a lepsze panieństwo,
Boć przetrudniejsze; ja mój wdowi wianek
Poniosę w niebo, gdzie mój mąż — kochanek!
A już Pan Jezus taką dał mi duszę,
Że co zamyślę a chcę — zrobić muszę;
I zrobię. Rzekła — a jak zamyśliła,
Tak i zrobiła ta osoba miła.
Żaden chłop duży lepiej nie harował,
Jako ta matka, nim syn się wychował;
Co inny w palce, to ona rękoma
Chwyta, okrutnie na pracę łakoma
Zawsze na nogach widział ją doświtek,
Wołała: Hajże! spanie niepożytek.
Rosło jej w rękach, nitki rosły w bunty;
Dwa półtoraczne przykupiła grunty,
A i tę łąkę pod lasem od Kuby,
Co z sąsiadami wodził się za czuby
Po wszystkich sądach, tak procesy lubił,
Aż poszedł z torbą — i już się odczubił.
Mnogo bogactwa w polach i do skrzyni
Nagromadziła mądra gospodyni.

Na jej obejściu królewskie dostatki.
Co za chudoba — budowle — i statki!
Stajnia niby dwór — czy nie?... A stodoła? —
Może na chłopa niższa od kościoła;
Może na więcej. Taka w tem dziwota,
Jakby dla ścieżki stały wielkie wrota —
Bo chałupina, w której Jaga mieszka,
Wązka, wdeptana, i krzywa jak ścieżka.
A gdy się ludzie dziwią, tak im mówi:
Pobożnie było w niej chrześcianinowi;
Niech sobie krzywa, byle mnie nie krzywa,
A tum rodzona, i była szczęśliwa.
Inne na swarnię założenie mają.
Ona na miłość, i w niej się kochają.
Nie długo mi żyć, nieboszczyk mój śni się
Co noc, już szuka za mną, widzi mi się.
Tu — niech mi Janek przywiedzie swą młodę,
Tu — niech mu pierwsze kwili na urodę,
Potem niech stawia, gdy go zrobię pankiem,
O dwóch kominach choćby dom — i z gankiem!
Tak mówi. Chatę podlepia, podpiera...
Stoi krzywula, Jaga nie umiera.

Hej Janek, Janek — chłopak bujny krewki,
Kiedy przechodzi czerwienieją dziewki,
Kiedy się śmieje, to jak tęcza która,
Ano, kiedy zły, to jak czarna chmura.
Matkę miłuje baczny na jej wolę,
On jej: zazulo — ona mu: sokole...
Przed matką czuj-duch, dla innych nie czujny,
W kupę się nie wziął, dlatego podwójny,
Jak orzech dwojniak, co to jeden zdrowy
A drugi świstun; bije mu do głowy,
Ni stąd, ni zowąd krew nim często rusza —
Jeszcze dopyta kiedy paralusza.

Hardy jest, w sobie bardzo zadufany,
Żeby nie taki, kłaśćby go do rany;
Teraz on innym tylko kułak kładzie
Na grzbiety, prędki w ladajakiej zwadzie.
Dyzmie basiście czy łba nie rozwalił
Basem?... Rozwalił — i jeszcze się chwalił;
A pytaj, za co? że człeczek podpiły
Zdrzemnął się trochę w graniu... Jezu miły! —
Taki ten Janek — byle co, pięść w górę!
Szczęście popsuło w nim dobrą naturę;
Niechno go kiedy przywali nieszczęście,
To spokornieje — i zwisną mu pięście.

2.

Gdybyście stali na wysokiej wieży
Widzielibyście Janka jak należy.
Ja i stąd widzę. Wyszedł teraz z boru,
W nową sukmanę odzian dla honoru,
Kapelusz z pawiem zawiesił nad uchem,
Kontentny bardzo, że czuje się zuchem;
Za pas szeroki wepchnął dwa kułaki,
Idzie hukając niby panicz jaki,
Co panicz, — idzie jako królik młody,
Co nawołuje: klękajcie narody!

Na przełaj idzie, pilno mu i spieszno:
Wraca do domu z nowiną ucieszną.
Widać stodołę, co byłaby blizka
Gdyby nie łąka (bo potem pastwiska)
Z trawą w pas; wkrótce będą ją sprzątali.
On nic nie pyta, środkiem łąki wali!
Nie żal jej, mówi, bo to łąka pańska;
A szkoda szkodą, rzecz niechrześciańska —
I brnie! głęboka staje za nim ścieżka.
Zdybie polowy, to dobędę mieszka,
Tak znowu mówi; — co? albom nie bogacz?
A przytem bodę — tom bogacz i bodacz!
I brnie, aż kipi, nasz Janek jegomość,
Jakąż on matce nieść może wiadomość,
Dla której cudzą sponiewierał łąkę?
Na granatowej sukmanie ma mąkę —
Widzicie; w mące pośpiechu przyczyna,
Albowiem w mące radośna nowina

A tom was zagadł — myślicie, nie wiecie;
Z młyna on wraca — resztę zrozumiecie.
Z młyna on wraca od Jacka młynarza,
Znakomitego na świat gospodarza,

Co zdawna dzierży wielki młyn na Wulce,
Stąd o pół mili, przy Maryjopólce.
Hej, trzos u niego i jagła i Jagna,
Warto doń chodzić przez skały i bagna!
Janek nie chodził lecz na skrzydłach latał,
I córkę Jacka dziś właśnie zaswatał,
Różne w niej widząc przymiotów zadatki,

Wraca do ula zapóźniona pszczółka,
Na rozkwieconej zabawiwszy niwie;
Półsenny chruściel skrzypi żałobliwie,
Na Anioł-pański dzwońce najprzód dzwonią
Zanim je głosy z dzwonicy dogonią;
Ptaszek na gniazdku skrzydełka rozkłada.
Okrywa małe, bo już rosa padą.



MŁODE PIESKI.

I ten, że miała imię jego matki.
Panna nadobna, pracowna, pobożna,
Przytem kibitna, jak jaka wielmożna...
Szczęście miał!
Słońce zachodzi w cichości,
Na sen spokojny świat idzie w miłości,
Biała po łąkach ścieli się pościółka;

Niebo jak wielkie niebieskie pastwisko,
Kędy na krańcu dagasa ognisko;
Białawe chmurki rozbite na runo,
Jak stado gąsiąt gdzieś na nocleg suną.
I jedna tylko skłębiona, ponura,
Pośrodku nieba stoi czarna chmura
Dziwnym trafunkiem podobna do byka;

Nogi, dwa rogi ma bestyja dzika
I łeb spuszczony; wiatr skądciś nią trącił
I huk się rozległ — czem szpetnie zamącił
Miłą wygodę ciszy i słodyczy...
To krótkie grzmienie znaczyło: byk ryczy.

Najadł się trawy osioł bałabański,
Wybrnął nareszcie Janek z łąki pańskiej,
I zły, bo zmęczon, dźga dalej bez drogi;
Wtem mu ptaszyna frunęła z pod nogi —
Patrzy: gniazdeczko pod cierniowym krzakiem,
W niem czworo piskląt śpi uśpieniem takiem
Jakby świat cały był im gniazdem błogiem,
Niebo skrzydłami matki, matka Bogiem
Inaczej mówiąc, taką to maleństwo
Czuło spokojność snu i bezpieczeństwo.

Co robisz Janku!! Bodajbyś nie dożył!
Pod gniazdko koniec buciska podłożył
I machnął nogą! Nie patrząc szedł dalej.
Patrzało na to słońce, co się pali! —
W górę porwane, jakby wichru siłą,
Gniazdko dopiero tam się przechyliło,
I wyleciały z niego cztery ciałka.
Kiedy posucha, to ziemia nie miałka —
Jedno nieboże na grudę spiczastą
Na wznak upadło — i leży jak ciasto
Trupek; niewinna ofiara, dotknięta
Bezmyślną złością ludzką, jak rączęta
Rozkrzyżowała swe gołe skrzydełka.
Drugie, tuż obok, złamało widełka
Skrzydlne, a z dzióbka krew mu się wylewa;
Drży, czasem zadrga — teraz często ziewa...
Kona... nakoniec nóżki wyciągnęło...
Na boleść krótką zbudzone — usnęło.
Najnieszczęśliwsze trzecie, bo upadło
Na krzak cierniowy, na kolcu osiadło,
I jak na szpilce, gdy motyl się wierci,
Przez długie męki iść musi do śmierci;
Dziwny twój koniec, mój maleńki ptaku,
Tak dawniej ludzi wieszano na haku.
Czwarte opodal w trawę odleciało
Żywe i zdrowe — widne jego ciało
Czeka spokojnie na żarłoczną wronę,
Co nadlatuje — i będzie zjedzone,

W powietrzu płacz, krzyk... jakby coś krzyczało:
Co mi się stało, ach, co mi się stało!
Co mi się stało!... A za co? A za co?...
Czemu mnie skrzywdził ten człowiek ladaco?!
I ja stworzenie boże!!...
Tym lamentem,
Za swem potomstwem zgładzonem ze szczętem,
Zawodzi biedna matka nieszczęśliwa;
Spada na trupki sama ledwie żywa,
Włóczy skrzydłami około tej bryły
Podobnej marom; potem od mogiły
Goni za Jankiem rozogniona złością;
Lecz żal silniejszy, bo z większą szybkością
Wraca z pół drogi, a lecąc dojrzała
Cierń, gdzie się męczy jej ptaszyna mała.
Trzepocąc w miejscu nad nią się unosi,
Całę stworzenie o ratunek prosi,
Próbuje dzióbkiem oderwać dziecinę,
Obraca ciałko, co krwawe i sine,
A wszystko na nic, na nic... Trudne rzeczy,
Sama na cierniach tylko się kaleczy.

Widząc, że próżny ratunek dla dzieci
Teraz już matka wprost na Janka leci.
Nie miał on czasu, by odejść daleko;
Działo się krótko, choć słowa się wleką.
Już jest przy Janku, okrąża go z krzykiem,
Bije na niego w zagniewaniu dzikiem,
Zdawałoby się, że mu do ócz skacze,
A swoim głosem klnie, klnie, a nie płacze
Na jakieś widmo urósł ptaszek mały...
Aż stanął Janek — »A to gad zuchwały
Zamruczał — Chce iść... z miejsca się nie rusza...
Nazad go ciągnie, nazad jego, dusza!
Nie wie dla czego i co mu kazało
Wracać — a wrócił, szedł wolno, nieśmiało —
Przyszedł gdzie ciernie i kretowin kupki,
Ujrzał na bryle dwa leżące trupki...
No, to komedya — tfy! — rzekł i splunął,
Machnąwszy ręką swą drogą posunął.

Czekajno chłopcze, nie pędź, coś ci powiem.
Widzisz, Bóg darzy ciebie dobrem zdrowiem,
Dał ci urodę i majętność sporą,
Co innym ot tak, tobie w dziesięcioro;
Matka cię strzegła niby swoje oko,
Kochała ciebie miłością głęboką
Jak morze, wielką jak niebo bez granic...
Ty miłość ptasiej matki miałeś za nic?...
I dziś, Bóg dobry dał ci nie to ino,
Związał twe serce z pobożną dziewczyną,
Spiesząc do matki w skok, na jednej nodze,
By ją ucieszyć — zabijasz po drodze?!...
Najprzód bijałeś, a teraz zabijasz.
Tak, tak — zabijasz! Jak wąż się wywijasz
W mem ręku — mówisz, że to swawoleństwo
Głupie ot sobie — a to bezeceństwo.
Czem obrażona jest jasność niebieska.
Twa dusza za to odpowie, nie kieska!
Bo to nie łąka, którą stratowałeś.
Odbierasz życie, a życia nie dałeś!
Idź, idź!... Opatrzność, to sąd nieustanny,
Niech cię ratuje łaska Matki Panny!

Tymczasem matka ptaszęcia w tę chmurę
Wzleciała, co ma wejrzenie ponure
Jak byk. A chmura: Ptaszku, gdzie ci droga?
— Puszczaj, ja lecę ze skargą do Boga;
Widziałaś chmuro?
— Widziałam i płaczę.
— Łzy nie pomogą na moje rozpacze...
— Mam ogień i grad!
— Cóż z tego — i inni
Mogliby przytem szkodę mieć, niewinni.
Odrzekło dobre i rozumne ptaszę.
A chmura: Pójdę więc na lasy nasze,
Rozpowiem wszystko, niech radzą.
I żwawo
Mrukliwa chmura puszcza się na prawo,
Na wielkie bory do Czarnego Kąta,

Kędy siekiera zdawna się nie krząta
I siedzą sobie w spokoju staruchy.
Po chwili w borach szum przeciągnął głuchy,
I zaraz powstał skrzyp, łomot gałęzi,
Jak gdyby wyrwać się chciały z uwięzi;
Ale niebawem gniew swój uciszyły,
I hen za północ coś drzewa radziły.

(Dokończenie nastąpi).

WŁOSY I BRODY U POLAKÓW.

Długosz tak nam opowiada o początku zwyczaju podgalania głowy u Polaków: »Papież za uwolnienie Kazimierza (Odnowiciela) od ślubów zakonnych z klasztoru Benedyktynów w Kluniaku, nakazał Polakom płacić stolicy św. Piotra po denarze od głowy, nadto aby Polacy nie zapuszczali włosów zwyczajem barbarzyńskim, ale podstrzygali głowy z odsłonieniem uszu, a w większe uroczystości kościelne wdziewali chustki lniane, białe, nakształt stuły zawieszone. Żeby po tych trzech znakach pamiętali o łasce stolicy apostolskiej, która uwolniła od ślubów zakonnych królewicza, aby mógł im królować.«

Jeżeli tak było istotnie jak w cztery wieki potem opowiada Długosz, to mielibyśmy wskazówkę, że pierwej Polacy nosili długie włosy. Zdaje się jednak, iż Długosz powtórzył podanie nieprawdziwe, gdyż w średnich wiekach podgalali już głowy nie tylko Polacy, ale i ludy, które żadnych stosunków z papieżami nigdy nie mieli. Owszem zwyczaj postrzyżyn każe mniemać, że z dawna nożyce i postrzyganie krótkie włosów leżało w obyczaju narodowym.

Za doby Piastów golono powszechnie brody, czego najlepszym dowodem jest Henryk Brodaty, książę śląski (zm. r. 1238), który gdy na wzór pokutników i tercyarzy zapuścił brodę mniszą, to naród dał mu przydomek Brodatego, a nie było kronikarza w owej epoce, któryby faktu niezwykłego zapuszczenia brody nie zapisał. Dowód z tego, że ogół bród nie nosił, jak to i ze starych pieczęci wielu książąt widzimy. Władysława Łokietka widzimy na grobowcu jak ma już brodę długą i starannie utrefioną. Siostrzeniec Kazimierza Ludwik węgierski nosił także brodę naprzeciw zwyczajowi polskiemu. Jagiełło obyczajem litewskim brody nie nosił. Długosz prawie współczesny twierdzi wyraźnie, że dawni Litwini przystrzygali krótko głowy i brody. Widocznie jednakowy pod tym względem był stary zwyczaj w Polsce i Litwie. O brzytwę było trudno, o nożyce łatwiej, więc przystrzygano brodę krótko, jak to i w naszych czasach po zapadłych kątach kraju lud czyni, zostawiając golenie do świąt uroczystych. Tym, którzy przez niedbalstwo zapuszczali brody, Witold golić je kazał i sam się golił.

Długosz w roku 1466 z oburzeniem pisze o zakradającej się do Polski modzie »trefienia włosów i obyczaju niewiast skręcania ich w sploty« (loki). »Stroili się w szaty długie w domu i po za domem, przesadzajac się w niewieściałości z niewiastami i na ich wzór zapuszczając kędziory.« Oburzenie to musieli podzielać wszyscy Polacy w duchu narodowym, powtarzając stare przysłowie: »Długie włosy, krótki rozum«. Rej w połowie 16-go wieku tak powiada: »Jedni golą brody a z wąsy chodzą, drudzy strzygą brody po czesku, trzeci podstrzygają po hiszpańsku i około wąsa zasię jest różność, bo go jedni na dół głaszczą, a drudzy w górę jeżą.« Ogół jednak narodu bród nie nosił, tylko wąsy odpowiedniejsze charakterowi rycerskiemu. Sam Rej nadmienia, że »kto brody nie ustrzyga we zbroi, powiadają: bardzo z nią źle.« Niewiele późniejszy od Reja Górnicki pisze w »Dworzaninie«, że za jego czasów jedni noszą, drudzy przystrzygają i golą brody. Wyszydza przytem elegantów starych, który »siwą brodę czeszą grzebieniem ołowia-

nym, żeby zachowała dłużej czarność. Zygmunt I czasami golił brodę, to znowu tak podcinał równo, że z twarzą czworobok zdawała się tworzyć. Zygmunt August nosił brodę rozdwojoną. Henryk Walezy przywiózł z sobą do Polski modę bródki hiszpańskiej. Stefan Batory nosił wąsy, a brodę przy skórze nożyczkami podstrzygał. O Jędrzeju Górce zmarłym roku 1551 powiada Niesiecki: »golił głowę, nosił brodę«. Karol Chodkiewicz i Jan Zamojski podgalali głowę dokoła, zostawiając nad czołem czub wyniosły. Niesiecki twierdzi, że sławny wojownik Samuel Łaszcz (zm. r. 1619) pierwszy czuprynę strzygł wysoko, t. j. nosił wielki czub nad czołem dokoła podgolony, to też Rysiński w »Satyrze« podgoloną czuprynę nazywa »łaszczową«. Podstrzygiwano włosy: po polsku, z czeska, z czerkieska, z hiszpańska. Zygmunt III wprowadził modę szwedzką, t. j. wąs podgolony i najeżony do góry, broda hiszpańska i włosy krótkie. Jan Kazimierz brodę golił, włosy nosił długie. Opowiadano o Tęczyńskim, że gdy w 17 roku życia zganił zdanie siwobrodych senatorów wobec króla, śmiano się z niego jako z gołowąsa. Lecz król oceniając jego zdolności, mianował go wojewodą krakowskim. Wtedy Tęczyński zostawszy senatorem, przyszedł zasiąść w radzie z przyprawioną brodą i wąsami, a gdy w radzie zapytano go o zdanie, potrząsnął brodą i rzekł: »brodo mów!« To powtórzywszy odrzucił przyprawę i tak poważnie i gruntownie mówił, że wszyscy zdumieni zawołali: »Siedź między nami, bo Bóg ci dał w młodzieństwie stary rozum«.

Modę bród hiszpańskich upamiętniła fraszka Kochanowskiego »Do Bartosza«: »Bartoszu łysy, a z hiszpańską brodą.« Że jednak żadna moda nie zdołała zatrzeć zwyczaju narodowego noszenia wąsów polskich bez brody, najlepszym tego dowodem sama w wieku 16 rozmaitość kształtu noszonych bród przez ludzi goniących za modą. O tej rozmaitości trzeba wnosić ze słów Kochanowskiego w jego wierszu »Broda«:

Raz tak u gęby wisząc jako wałkownica:
Drugi raz przykrojona, jako prochownica.
Dziś nożycom podobna, jutro końskiej kosie,
Czasem tak rzadka, żeby mógł liczyć po włosie
Jako kędy grad przejdzie: czasem wygolona
Wkoło gęby, a z brzegów w cyrkiel nastrzępiona.
Tak odmienna, tak można . . . . .

Od golenia i strzyżenia bród, nazywano w Polsce cyrulika barbierzem, balbierzem a najczęściej balwierzem (Górnicki, Kochanowski). Petrycy tak powiada: »Cyrulikowa, barwierzowa jest powinność, golić, strzydz, wrzody leczyć.« Królowa Marya Kazimiera, żona Sobieskiego, sprowadziła z Paryża barwierza Clairemont, który tak był modnym, że się żadna dama nie śmiała pokazać u dworu nieufryzowana przez niego, i naturalnie zebrał w Polsce znaczny majątek. Za królów saskich a zwłaszcza Augusta III, dotknęła Polskę plaga potwornej mody niemieckiej. Zwolennicy tego stroju fryzowali i pudrowali swe włosy, a częściej nakładali na nie wielką perukę fryzowaną i pudrowaną z wiszącym z tyłu harcapem. Na taką perukę nie mogąc wkładać żadnej czapki, noszono w ręku lub pod pachą trójgraniasty płaski kapelusik niemiecki. Królowie sascy zaprowadzili wtedy warkocze w wojsku saskiem gwardyi królewskiej i pułkach polskich cudzoziemskiego autoramentu. Gdy obrzydliwa moda wymagała, aby przy każdej skroni wisiały dwa loki, które nie podobna było zawijać żelazkiem codzień każdemu drabowi, rozdawano loki gipsowe, które musiał pod kaszkietem przywiązywać. Tylko chorągwie polskie mody niemieckiej nie przyjęły.

Krasicki, lubo z przesadą powiada w »Panu Podstolim« o tych czasach, że we Warszawie u pewnego stołu między 40-tu perukami znalazła się tylko jedna polska czupryna. Peruki przywdziewała jednak tylko arystokracya i eleganci miejscy, szlachta zaś wiejska, zwłaszcza mniej zamożna, pozostała wierna polskiej czuprynie, szydząc sobie z harcapów, które noszono spuszczone na plecy w czarnych kitajkowych płaskich workach. Strzygła ona włosy krótko, młodzieży i pachołkom przy skórze (stąd ostrzydz krótko, zowie się

po polsku opacholić). W pojęciach narodu od prastarych czasów warkocz spleciony czyli kosa, była symbolem panieństwa i »krasy dziewiczej«.

W Małopolsce splatano zwykle włosy w jedną kosę, na Mazowszu i Rusi we dwoje.

W razie utraty dziewictwa obcinano warkocz, równie jak po ślubie mężatkom, które w Polsce nie nosiły nigdy warkoczów tylko ukryte pod »białym rąbkiem« kędziory. Stąd to podczas godów weselnych polskich widzimy starożytne, charakterystyczne i piękne obrzędy rozplecin i oczepin, niegdyś wspólne całemu narodowi, dziś jeszcze przez lud wiejski z towarzyszeniem staropolskich pieśni zachowywane.

Wspomnienie o klasztorze OO. Dominikanów w Oświęcimiu.

Klasztory w średnich wiekach były ogniskami, z których szeroko po kraju rozszerzało się światło wiary, nauki i cnoty; takiem też ogniskiem był klasztór OO. Dominikanów w Oświęcimiu. O początku jego wspomina O. Kazimierz Lasocki, dr. św. teologii a przeor OO. Dominikanów oświęcimskich w rękopisie swoim z r. 1650, że kościół i klasztór oświęcimski pod wezwaniem św. Krzyża, krótko przed zgonem, albo zaraz po zgonie św. Jacka Odrowąża fundowali książęta oświecimscy, Mieszko i Władysław, z których pierwszy żył około roku 1291, a drugi około 1316. Ks. Siejkowski zaś przyłącza jeszcze jako szczególniejszą fundatorkę tego kościoła i klasztoru żonę tegoż Władysława Eufrozynę, panię wielkiej świątobliwości i ofiarności. Książęta ci patrząc własnemi oczyma na zbawienne skutki misyi apostolskiej pierwszych Dominikanów polskich a współrodaków swoich św. Czesława i św. Jacka Odrowążów (urodz. w Kamieniu na Śląsku), zapragnęli gorąco mieć ten zakon na zawsze u siebie, aby przezeń w narodzie umocnić wiarę i cnotę. I nie zawiedli się też w nadziejach swoich, bo OO. Dominikanie oświęcimscy siali hojnie po kraju ziarno Chrystusowej nauki przez całe pięć wieków. W podziemiach też ich kościoła pragnęli odpocząć po śmierci książęta oświęcimscy, jak to stwierdza Długosz lib. XI. fol. 644, że dnia 7-go Kwietnia 1433 r. Kazimierz książę oświęcimski, syn Przemysława młodszego, na zamku swoim oświęcimskim umarł, i w klasztorze OO. Dominikanów jest pochowany, a miejsce i ślady ich grobowców wskazują do dziś dnia.

Lecz Opatrzność Boża ciężkiemi próbami nawiedziła ten klasztór. W wieku 15-tym zerwała się straszna burza Husytów, heretyków czeskich, którzy na czele Żiski i Prokopa ogniem i mieczem niszcząc kościoły katolickie, aż do Częstochowy się posunęli, i tam oblicze cudownego obrazu N. M. P. cięciem miecza świętokradzko znieważyli. Napadli także na klasztór oświęcimski, a zniszczywszy ogniem zabudowania klasztorne, chcieli zniszczyć i kościół, do którego zakonnicy i lud pobożny się schronił, błagając dzień i noc miłosierdzia Boskiego. Lecz wszelkie usiłowania heretyków były daremne, bo — jak mówi podanie, — ktokolwiek z nich wdarł się po drabinie pod dach wysoki, aby go podpalić, spadał na ziemię oślepiony lub połamany, aż wreszcie widząc nad klasztorem unoszącą się w jasności postać św. Jacka w habicie dominikańskim, strachem przejęci, odstąpili. Odtąd z tem większem zaufaniem jeszcze wzywał lud opieki św. Jacka.

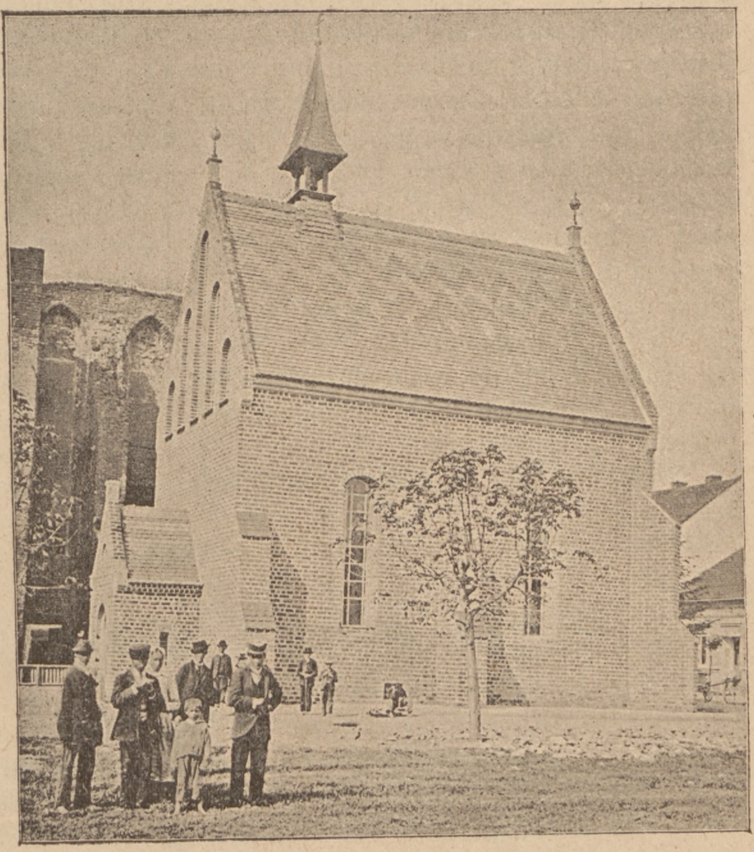
W wieku 17-tym przemocą wdarli się do klasztoru Aryanie, a wypędziwszy zakonników, opanowali kościół, i dopiero po kilkudziesięciu latach wyparci zostali.

Tryumfem dla całej Polski i Ślązka a dla Oświęcimia w szczególności był rok 1594, w którym św. Jacek kanonizowany i pomiędzy Świętych uroczyście policzony został. Wtenczas to prawdopodobnie OO. Dominikanie oświęcimscy na tę pamiątkę swój kapitularz, w którym dotąd pacierze kapłańskie i pobożne narady odprawiali, przemienili na kaplicę św. Jacka, sławiąc Jego cuda malowidłami na ścianach, których ślady dotąd są jeszcze widoczne. W tej kaplicy znajduje się także pomnik marmurowy, zachowany dotąd jeszcze w całości, a wystawiony przez Agnieszkę z Bibersteinów (Starowiejskich) mężowi swemu Mikołajowi ze Mstowa Mstowskiemu, który poległ w obronie wiary i ojczyzny przeciwko Szwedom dnia 10-go Sierpnia 1656 roku na polu walki w 34 roku życia. Nagrobek ten przypomina tak dla klasztoru oświęcimskiego, jak i dla całego miasta straszne czasy. Wtenczas to Szwedzi zalawszy całą Polskę, prócz Częstochowy (którą N. M. P. cudownie ocaliła opieką swoją) zniszczyli ogniem całe miasto Oświęcim, klasztór i wszystkie jego kościoły.

Ostatni atoli cios zadał klasztorowi cesarz Józef II-gi swoim dekretem kasacyjnym, którym Zakonnicy zostali skazani na wymarcie, a dobra wraz z kościołem i klasztorem sprzedano.

Ostatnim przeorem był dr. św. teologii Rajmund Reissmann, a ostatni Dominikanin, który opuścił klasztór w roku 1816 po pięciusetletniem jego istnieniu, był O. Winkler.

Cele klasztoru przemieniono na mieszkania, kaplicę św. Jacka zamieniono na śpichrz zbożowy a potem na skład kości i starych szmat; nim w r. 1819 przystąpiono do rozebrania dzwonnicy, po raz ostatni uderzono w dzwony. Był to ich ostatni a bolesny jęk, który odczuło każde chrześciańskie serce, tak, iż nikt, kto je usłyszał, od łez wstrzymać się nie mógł. Pobożni żegnali się z nimi jakby z przyjaciółmi, których już więcej słyszeć nie będą. Dzwony poszły na sprzedaż, również jak i organy. Sprzedano ołtarze, a pomniki i tablice



Kaplica św. Jacka w Oświęcimiu.

pamiątkowe, brał każdy kto chciał. Wreszcie w roku 1845, gdy dach na kościele groził zawaleniem, zrzucono go, a tak ten kościół, co jak matka tulił do siebie i wychował dziadów i pradziadów, wnuków i prawnuków, z ostatniej swej szaty został odarty.

Ale nie tu jeszcze koniec jego poniżenia! Gdy wraz z dobrami oświęcimskiemi przed 12 laty kościół ten dostał się w ręce żydowskie, obstawiono go stajniami, jatkami, składami wę-

gla i nawozu. Wewnątrz stanęły kałuże gnojówki, a na grobowcach fundatorów, książąt oświęcimskich urządzono wewnątrz świątyni, na miejscu niegdyś naj świętszem, składy nafty, w zakrystyi zaś sklep tejże.

Gorszej profanacyi Domu Bożego i pamiątek przeszłości wyobrazić sobie prawie nie można! I to pamiątek, które mają za sobą pięciowiekową przeszłość religijną i narodową.

Ruiny te podominikańskie mają jeszcze za sobą i wartość architektoniczną.

Według orzeczenia konserwatora krajowego, p. Odrzywolskiego, nabytek ten pod względem stylowym należy do odcienia budownictwa wczesnego gotycyzmu, z przejścia z wieku 13-go na 14-ty, z którego już nie wiele przykładów zostało w naszym kraju. Również według jego orzeczenia, świątynia ta, która niegdyś należała do najokazalszych w Polsce, a pod względem długości równa się Katedrze na Wawelu, może być bez poważniejszych trudności do pierwotnego stanu przywróconą.

W tymto właśnie celu w roku 1894 zawiązał się w Oświęcimiu komitet, który położył sobie za zadanie przedewszystkiem wykupić z rąk żydowskich kościół ten wraz z kaplicą św. Jacka i placem przyległym. Dzięki Bogu, udało się już wyrwać z rąk innowierców kaplicę św. Jacka za kwotę 3.000 złotych reńskich, a w tym roku pięknie ją zrestaurować, tak, iż jest prawdziwą ozdobą miasta ku chwale Bożej. Również udało się komitetowi zebrać drugie tyle na wykupno samej świątyni z resztą placów i zabudowań klasztornych. Gdy atoli na wykupno to potrzeba jeszcze kilka tysięcy reńskich, a okolica oświęcimska częstemi wylewami rzek Wisły i Soły nękana, mimo swej wielkiej ofiarności, na sumę tak znaczną zdobyć się nie może, zwrócić się należy szczególnie do Ślązaków, aby pomnąc na to, że niejeden z ich praojców doznał łaski i miłosierdzia Bożego w tej świątyni dziś tak sponiewieranej, dać zechcą i swój grosz na ofiarę, aby ją wyrwać z rąk żydowskich teraz, a potem przyodziać w szatę Oblubienicy Chrystusowej.

Ze świata legend i baśni.

(Ciąg dalszy.)

Mieliśmy sposobność przekonania się w pierwszych częściach niniejszego szkicu o tem, jak w podaniu i pieśni przebija się na każdym kroku charakter mitologiczny praojców Słowian, widzieliśmy również jak cały obszar literatury ludu w jej wewnętrznej istocie moralnej zostaje w prostym stósunku do ustroju słonecznego i żywiołów natury, a więc słońca, księżyca, gwiazd, zorzy, ziemi, wody, ognia i t. p., które od najdawniejszych czasów poczytywano za bóstwa; nie uszło i to naszej uwagi, że słońce było uważane w całym cyklu pieśni i podań ludowych, jako jeden z najważniejszych pierwiastków, najgłówniejsze bóstwo, wobec którego inne zajmywały drugorzędne stanowisko. — Teraz wypada nam spojrzeć na zjawiska będące niejako filozoficznym wyrazem całego systematu mitologicznych pojęć i wyobrażeń. Zatem przegląd obrzędów ludowych ma nam zaokrąglić charakter i znaczenie całej literatury ludu, żyjącej po nasze czasy.

Patrzymy się niejednokrotnie na różnorodne obrzędy ludowe, nieraz śmiejemy się z ich charakteru zabawnego; mało jednak zastanawiamy się nad ich zasadniczą myślą. Zdaje nam się w ogóle, że obrzęd ludowy jest prostą zabawką, nie mającą w sobie najmniejszej myśli logicznej; nie może też być dzisiaj inaczej, bo i lud nasz sprawujący te obrzędy, nie wie sam dla czego to czyni. Robili to przodkowie, więc i lud

tak robi... To cała racya... Przesuwają się też przed oczami czasów dzisiejszych ognie świętojańskie, turzyce, kupały, hailki niby hieroglify mowy dawnej praojców Słowian.

A przecież tak nie jest w zasadzie obrzędów ludowych. Jeżeliśmy widzieli w poezyach i podaniach ludu charakter mitologiczny, odnoszący się do głównych bóstw słonecznych, przedstawiony w lekkich zarysach, tutaj za to spostrzegamy, jak owe zarysy, owe lekkie pobudki pojęć i przekonań mitologicznych nabierają kształtów plastycznych, przyjmują znamiona uporządkowanych myśli i wyobrażeń.

Ostatnie dni Grudnia, czasy zimowego przesilenia, uważały się w mitologicznych pojęciach pogańskich ludów jako najpierwsze zwycięztwo światła nad ciemnościami, życia nad śmiercią, pierwiastku twórczego nad niszczącym czyli jednem słowem, słońca i rozbudzającej się wiosny nad nocą i martwą zimą. Uważano, że w dniach tych ziemia święta zaczyna się z lekka wyswobadzać z więzów, w jakie ją zima spętała. Oczywista, że pojęcie to nie w naszym klimacie powstało; zostało ono przyniesione z dalekiego wschodu, z pod gór Hindu i z równin Gangesu, gdzie początek wiosny właśnie na ten czas przypada.

Ponieważ to już pewnikiem jest cywilizacyjnym i naukowym, że ludy europejskie przywędrowały ze wschodu, naturalnem więc, iż musiały z sobą przynieść zarazem dawne mitologiczne wyobrażenia, które siłą tradycyi utrzymały się w nowych warunkach życia, i przechowały aż po dni dzisiejsze.

Jakoż i w Słowiańszczyznie pogańskiej, w dzisiejszych pieśniach, podaniach i obrzędach ludowych, pojęcie pierwszego zwycięztwa słońca nad więzami zimy, czyli rozbudzającej się natury nad jej martwotą, dochowało się w całej sile wewnętrznej.

Z pomiędzy wielkiej liczby ludowych obrzędów, przypadających na porę grudniową, około nowego roku. najpowszechniejszym jest obrzęd kolędy. U nas jednakże święto kolęd, zatraciło zupełnie pierwotne swoje znaczenie, przeobraziło się na czysto chrześciański obrzęd. To też w całym szeregu kolęd, tak pięknych, tak do serca przemawiających, nie znajdziesz nic więcej nad myśl o narodzeniu Chrystusa Pana, który przybraniem postaci ludzkiej na siebie zaczyna nową dla świata epokę. Powtarzanie więc odmienne po każdej niemal zwrotce pieśni o narodzeniu pańskiem: »Hej kolęda, kolęda!« nie zawiera nic innego nad myśl uczczenia nowonarodzonego dzieciątka. Podobnie również dawna pieśń, zapisana przez Mioduszewskiego:

. . . . . czołem biją jasnemu
Pod ciała cieniem słońcu utajonemu.
Słońce przedwieczne, przez twe zjawienie —
Które się zaczyna nam na zbawienie.
Zapal, zapal, zapal, zapal zmrożone
I w cieniu ciemnej nocy serca zgaszone —

być może, że zatrzymała w sobie jakieś słabe cienie dawnych mitologicznych pojęć, przecież dzisiaj jest ona czysto chrześciańską. Wspomnienia pogaństwa zatraciły zupełnie swój charakter pierwotny, ustąpiły świętym zasadom chrześciaństwa.

W świeckich jednakże obrzędach kolędy, duch pojawienia się nowego życia w naturze, zachował się jeszcze do naszych czasów. Taka n. p. kolędowa pieśń, śpiewana przez lud krakowski, zaczynający się od wierszy:

Przed arendą stoi jawór,
Oj *lelum* stoi jawór,
Na tym jaworze siedzi gołąb,
Oj *lelum* siedzi gołąb.

albo ruska kolęda:

Na środ dworu jawór stoi
Hej! Leluja!
Na jaworze złota rzęsa
Hej! Leluja!
I przyleciały rajskie ptaszęta
Hej! Leluja!

opowiadająca w dalszym toku zjawiska codziennego życia, zawiera wyraźne świadectwa mitologicznych pojęć. Nie mówiąc już o czysto mitologicznej nazwie Lelum, leluja, w samym jaworze i rajskich ptaszętach widzimy silne wspomnienia owych gołębi, co siedząc na zielonym jaworze radziły radę, »jak świat osnować«.

Czasy właśnie zimowego przesilenia były uważane jako epoka stworzenia świata, więc dalszy ciąg działalności twórczej widział człowiek w pierwszym brzasku słońca, w pierwszych pojawach wiosny. Zwłaszcza zielony jawór jest tu uważany jako symbol wiecznego istnienia, jako drzewo życia, podobnie jak w mitologiach dalekiego wschodu. Cała potęga życia, jaka się odzywa w pierwszych dniach zwycięztwa słońca nad ciemnościami zimy, — objawiła się we wszystkich żyjących istotach. Nawet zwierzęta nasze myślą jak ludzie i rozmawiają ze sobą o przyszłych wypadkach. Podanie to właściwe wszystkim ludom aryjskim, dowodzi jednych myśli wspólnych, dowodzi tryumfu odniesionego przez pierwiastek twórczy nad pierwiastkiem zniszczenia.

W tej porze przesilenia, w chwili pierwszego tryumfu światła nad zmierzchami zimy, człowiek radość swą okazywał rozmaitymi obrzędami, wyprawiał gody, do których przypuszczał konie i bydełko swoje. Dziś jeszcze po odprawionej wigilii gospodarz skrzętnie zbiera resztki biesiady i oddziela niemi zwierzęta domowe. Nie ma prawie zakątka ziemi w Europie, gdzieby zwyczaju owego nie zachowywano.

Starożytni Normanowie w porze naszego Bożego Narodzenia, obchodzili święto Thora, tak zwane gody julskie, uważane za największą uroczystość pogańską. Sprawiano nawet wtedy Thorowi czyli słońcu największą ofiarę ze zboża i różnego rodzaju pokarmów, zaścielano całą komnatę słomą, stawiano snopy zboża po kątach, spożywano na cześć boga potrawy, robiono wróżby rozmaite i t. p. Czyniono przy przy tem różne praktyki z bydłem. Uroczystość julska czyli turzyce zachowały się jeszcze po dziś dzień w Szwecyi w obchodzie wigilii. Takież objawy spotykamy jeszcze u nas i w wielu innych miejscach.

Z pomiędzy charakterystyczniejszych obrzędów czyli uroczystości pogańskich święconych na cześć słońca, znanego w Słowiańszczyznie pod różnemi nazwiskami, dochowały się po dziś dzień Toruń, Gwiazda, Bohaty weczer itp. We wszystkich tych obrzędach takie zwierzęta jak koń, tur a czasami i wilk, przedstawiają bóstwo słońca. Czy to więc wilk, jak w przysłowiu: »biega by z wilczą skórą po kolędzie«, czy koń jako bohater w obrzędzie znanym pod nazwą Torunia, czy wreszcie lis albo niedźwiedź w Bohatym weczerze, zawsze mają one czysto mitologiczne znaczenie, przechowane z odwiecznych czasów po czci słońca, a w tym razie przedstawiające zwycięztwo słońca nad ciemnościami zimy.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

* **Ugoda Bytomska i Gliwicka.** W numerze 35. »Światła« obszernie była opisana bitwa pod Byczyną, gdzie Zygmunt III z arcyksięciem Maksymilianem dnia 25. Stycznia 1588 walczył o tron Polski. Dla uzupełnienia owego artykułu dodać wypada, że wojna ukończona została przez ugodę Bytomską, która dnia 9. Marca 1589 na polu między Bytomiem i Bendzinem przyszła do skutku. Mocą tej ugody między Zygmuntem III i Rzecząpospolitą polską z jednej, a cesarzem Rudolfem II i arcyksięciem Maksymilianem z drugiej strony zrzekł się ostatni mniemanego prawa do korony polskiej i z Krasnegostawu, gdzie dotąd był zatrzymany, został uwolniony.

Miasto Bytom, o którem była mowa w numerze 33 »Swiatła,« jest także znane w historyi Polski z traktatu, który tutaj w r. 1460 został zawarty między Kazimierzem Jagiellończykiem, królem polskim. i Jerzym Podiebradem, królem czeskim. Krótki czas przed tem, bo w roku 1457 w Poniedziałek przed świętym Maciejem nabył Kazimierz przez ugodę w Gliwicach księstwo Oświecimskie, za które Janusz, ostatni książę Oświecimski, otrzymał 50,000 groszy szerokich wynagrodzenia. Ziemia Oświęcimska należała początkowo do Polski; lecz Kazimierz Sprawiedliwy w roku 1179 trzymając do chrztu syna Mieczysława I, księcia na Raciborzu i Opolu, podarował ją książętom górnoślązkim. W roku 1306 przybrała tytuł samoistnego księstwa i dopiero przez Kazimierza Jagiellończyka została wykupiona i znowu do Polski przyłączona. *J. Piast.*

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

V

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 4-go Listopada 1897. Nr. 44.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PRZY KOLEI.

W polu, o kilka mil od miasta, niedaleko ciemnego boru, stała chatka dróżnika Walentego.

Przed jego oknami widać było słup telegraficzny, dalej drugi, trzeci, wreszcie piąty i dziesiąty, bo, ktoby je tam wszystkie zliczył, tak długim rzędem ciągnęły się aż hen, za wzgórza, w dal niezmierzoną...

Słupy te łączyły sieć drutów, po których za pomocą elektryczności myśl ludzka z chyżością błyskawicy przebiegać mogła, choćby z jednego końca ziemi na drugi.

U stóp tej linii telegraficznej równolegle biegły w świat dwie szyny żelazne, gładkie, wązkie, zupełnie do siebie podobne. Jakkolwiek kilkołokciowa tylko dzieliła je przestrzeń, nigdy się one z sobą nie spotykały. Niby to były zawsze razem, a rzeczywiście zawsze oddzielnie. Po nich kilkanaście razy na dobę przebiegały lokomotywy, dysząc ogniem, parą i ciągnąc za sobą rząd długi wagonów, raz brudnych, bez okien naładowanych mąką, zbożem, węglem kamiennym, lub żelazem; drugi raz pięknie umeblowanych, o błyszczących oknach, z których wychylały się głowy podróżnych, przyglądających się okolicy.

Gdy taki pociąg świetny, błyszczący, zbliżał się do chatki dróżnika, Pawełek, syn Walentego, wybiegał przed sień i zdjąwszy czapkę, kłaniał się stojącym w oknach podróżnym.

Pewnego razu, podczas zimy, gdy mrozy dokuczać poczęły, a przez ściany chatki zdawało się, że zimny wiatr północny przewiewa i ciepło z niej wypędza, ojciec Pawełka zaniemógł i przez kilka dni leżeć w łóżku musiał.

Przez ten czas Walentowa kilka razy dziennie przebiegała powierzoną ich pieczy część szyn, czy czasem czyja złośliwa ręka, lub może przez przypadek, ktoś czego na szynach nie położył. Wiadomo bowiem, jakie to wielkie nieszczęścia często na drogach żelaznych się stają wskutek złej ochrony szyn.

Czwartego dnia, gdy znużona kobieta usiadła przy kominie, a Walenty przypominał, że trzeba wyjść obejrzeć szyny, bo za godzinę ma nadejść pociąg osobowy, zbliżył się Pawełek i rzekł:

— Pozwólcie mnie iść! Ja tak pragnę w czemkolwiekbądź przyjść wam, matusiu, z pomocą!... Przecież to nic trudnego obejrzeć szyny przed przejściem pociągu...

Na te słowa matka odrzekła, iż boi się tak ważnej czynności powierzać chłopcu, który jeszcze trzynastu lat nie skończył; ojciec jednak był innego zdania i pozwolił Pawełkowi zastąpić matkę.

Chłopiec z radością ubrał się w najcieplejsze, jakie miał ubranie, wziął na siebie ojcowską burkę, latarkę i wyszedł na dwór.

— A jeno mi tam gdzie nie zmarznij! — ostrzegała go przy wyjściu matka. — Kiedy poczujesz zimno, to wracaj zaraz do domu. Nie zatrzymuj się nigdzie.

— E! cobym tam miał zmarznąć! — odrzekł rezolutnie Pawełek, kontent, że rodziców wyręczyć może w ich zajęciach, które mu się wydawały bardzo łatwemi...

Nie wiedział, że ojciec już przedtem prosił kolegi swego o baczność i zastępstwo na powierzonej mu linii drogi żelaznej, a Pawełkowi pozwolił jedynie dla przekonania się o ile wytrwałym będzie i chętnym w przyjściu z pomocą rodzicom.

Noc była ciemna, zimno dokuczliwe i śnieg drobnymi płatkami padał na ziemię, gdy Pawełek wyszedł z chaty.

— Brrumm... zimno! — zawołał, tupiąc nogami po skrzypiącym śniegu, i

nie wiele myśląc, począł iść szybko po torze kolejowym, trzymając się blisko szyn, ażeby dobrze widzieć, czy na nich czegoś zbytecznego niema.

Szedł tak z pół godziny i zmęczył się.

— Dziwna rzecz — myślał — jak ojciec może kilka razy na dzień i na noc przejść tę przestrzeń, kiedy ja już czuję się strudzonym, choć dopiero pierwszy raz pragnę go wyręczyć.

Nie przystawał jednak, lecz ciągle biegł naprzód...

Tymczasem w ciemnej przestrzeni ukazały się dwa światełka.

— To pociąg idzie! — szepnął Pawełek i wyprostował się.

Był to rzeczywiście pociąg, który wkrótce, wyrzucając z komina lokomotywy kłęby dymu, przebiegł koło niego.

— To jeden — szepnął chłopiec. Teraz poczekam na drugi. Za dwie godziny nadejdzie znowu.

Dwie godziny w pośród nocy, na zimnie, to rzecz bardzo nieprzyjemna. Pawełek nie czuł tego. Ożywiała go i rozgrzewała myśl, że matkę swoją wyręcza, że za nią trudy ponosi.

Powoli zaczął wracać ku domowi. Śnieg teraz padał mu wprost w oczy, wiatr silny zatrzymał go w biegu, zrywając mu co chwila szeroką ojcowską kapotę.

— E, to nic! — szeptał, naciągając ją na plecy. — Teraz idę pod wiatr i dla tego zimniej mi i ciężej, niż przedtem...

I szedł dalej, choć łzy, nawet sam nie wiedział kiedy spływać mu poczęły po zmarzniętych policzkach. Zimno dokuczało mu strasznie, skostniałemi rękami już nie mógł poprawić kapoty, którą wiatr rozwiewał, jak żagiel, wstrzymując go w biegu.

— E, odpocznę sobie trochę — pomyślał chłopczyna, zapominając o przestrodze matki — z tym wiatrem, to już sobie rady dać nie mogę...

I usiadł tuż przy szynach, odwracając się tyłem do nieprzyjaznego wiatru i otulając się zmarzniętą burką.

— A jednak mnie się zdawało, że ojciec i matka, nie tak ciężko na chleb pracować muszą. Myślałem sobie nieraz, że to nic trudnego obejść ten kawałek szyn i wrócić do domu, że i jabym to potrafił, a dziś... — nie dokończył i ziewnął przeciągle.

Senność nim owładnęła wielka, łzy przestały nieco spływać po twarzy, gdyż wiatr nie rzucał mu się już tak w oczy.

W kwadrans potem Pawełek spał wśród pola, tuż przy szynach i jeśliby o tej porze jakiś pociąg przebiegał, to z pewnością zmiażdżyłby go, jak porzuconą ptaszynę. Na szczęście pociągu widać nie było. Śnieg tylko dokoła białymi płatkami ziemię okrywał, a w dali gorzało w oknach chatki dróżnika Walentego słabe światło lampki. Nagle z przeciwległej strony ukazały się dwa małe ogniki, jakby wilcze oczy i z każdą chwilą zwiększać się poczęły.

To lokomotywa nadchodzi. Biedny Pawełku, wstańże czemprędzej! Napróżno, on śpi tak smacznie!...

Wtem jakaś otulona postać zbliża się do śpiącego, chwyta go w swe ramiona i w sam czas unosi z niebezpiecznego miejsca.

Pawełek otwiera oczy.

— Kto to? czego?... — pyta, ani domyślając się, że przed chwilą śmierć mu groziła.

— O ty, zastępco nasz! — słyszy nad sobą głos matki. — A nie ostrzegałam cię to, żebyś się nigdzie nie zatrzymywał. Dzięki Bogu, że cię żywym widzę.

— Albo co?... — pyta Pawełek — niczego się nie domyślając.

— A toć to, że omało pociąg cię nie zgruchotał. Dzieci często pracę rodziców lekceważą, ani się domyślając, ile ona nieraz krwawych mozołów wymaga...

— Teraz już ja wiem o tem! — zawołał Pawełek, całując ręce, otulającej go chustką matki. — Już ja się teraz będę starał być wam na każdym kroku użytecznym i rad waszych słuchać, bo wiem, jak ciężko pracować musicie.

ŚWIĘTOPIETRZE.

Świętopietrze, nazwa pobożnej daniny dla Stolicy Apotolskiej na budowę kościoła św. Piotra i światło u grobu tego apostoła. Czechy, Węgry, Hiszpania, Anglia i Szwecya w średnich wiekach płaciły tę ofiarę Rzymowi corocznie. Polska tak nazwany później grosz św. Piotra opłacała już za Bolesława Chrobrego, ale nieregularnie, co Bolesław składał na zasadzki przez cesarza Henryka II na drodze do Rzymu czynione. Potem musiała nastąpić dłuższa przerwa, bo o wprowadzeniu świętopietrza przez Kazimierza I (wnuka Chrobrego) w roku 1045 wspominają kronikarze jak o rzeczy nowej. Długosz powtarza znaną legendę, że gdy posłowie polscy udali się do klasztoru

kluniackiego we Francyi, aby zaprosić na tron polski królewicza Kazimierza, który postanowił zostać tam mnichem (a właściwie oddany tylko był przez swą matkę Ryksę czyli Reginę na nauki), a z Kluniaku pojechali do Rzymu (r. 1040) prosić Ojca świętego, aby zwolnił królewicza od ślubów, Benedykt IX wysłuchawszy prośby Polaków, przychylił się do niej pod warunkiem, aby królestwo Polskie płaciło corocznie świętemu Piotrowi od każdej głowy stanu nierycerskiego po jednym pieniądzu (usualem numum), nadto że Polacy nie będą odtąd zapuszczać włosów zwyczajem barbarzyńskim, ale podstrzygać głowy z odsłonieniem uszu, na wzór innych narodów katolickich, a w znaczniejsze święta przewieszać na sobie białe chustki lniane na kształt stuły. Odtąd, jak twierdzi Długosz (piszący w cztery wieki potem), szlachta polska zaczęła podgalać głowy na wzór zakonników, a nikomu nie godziło się naruszać granic Królestwa, w którem opłata Świętopietrza oznaczała prawe ziemie Polski. Kronikarz Gallus także o świętopietrzu wspomina. Kadłubek o mnichostwie Kazimierza i świętopietrzu nic nie pisze, Bogufał nazywa ten pieniądz denarem (denarium). W XIV wieku Polskę połączono w poborze świętopietrza razem z Danią, Szwecyą i Norwegią. Roku 1386 poborcą generalnym na 3 lata w Polsce został biskup poznański Dobrogost i ten zaraz wyznaczył z ramienia swego 10-ciu podpoborców t. j. tyle ile było wówczas w Polsce dyecezyj. Z powodu wojen i nieurodzajów nieraz opłata świętopietrza ulegała opóźnieniu i przerwom, a lubo nie przedstawiała nigdy sum znaczniejszych, Polacy uważali ją za uciążliwą. Zygmunt I wyjednał u Leona X, iż dochód ze świętopietrza przeznaczony został z woli papieża na poprawę zamku w Kamieńcu podolskim, który uważany był za przedmurze przeciw potędze tureckiej. Ustępstwo powyższe ponawiali papieże co lat 10, aż Czarnkowski wyjednał ustąpienie rzeczonej daniny bez oznaczenia czasu. Ze źródła tego wpłynęło r. 1510 na Kamieniec grzywien srebra 420, w r. 1538 złotych ówczesnych 4200 za lat pięć, czyli po 840 złotych rocznie. Na sumę tę pobierano z jednych łanów po dwa grosze, z innych po groszu. Z pokwitowań Zygmunta Augusta okazuje się, że od r. 1550 do 1563 z całej metropolii gnieźnieńskiej, wraz z dyecezyą wrocławską, było przychodu w ogóle złp. 5246 gr. 15 i denarów 14. Gdy coraz bardziej w Polsce pomnażali się dysydenci, a Rzym starał się o najłagodniejsze stósunki z wiernymi, grosz św. Piotra upadł sam z siebie. Odtąd o opłacie świętopietrza żadnego w aktach skarbu polskiego niema śladu. Ks. Piotr Skarga za Zygmunta III powiada już tylko: »Za naszej pamięci jeszcze to Świętopietrze dawano.« Tym sposobem grosz polski na bazylikę i lampę u grobu św. Piotra a potem na podolską twierdzę u przedmurza chrześciańska, zasłaniającą Ruś od azyatyckiego jassyru, po 6-ciu wiekach urzędowego poboru, przeszedł do wspomnień dziejowych.

Praktyczne rady.

— **Na rany od oparzenia** lub spalenia nie ma lepszego lekarstwa jak białko od jaja Skoro się kto sparzy, niech natychmiast rozbije jaje i ranę obleje białkiem.

— **Szwaby,** obrzydliwe te owady, które, gdy raz się w mieszkaniach, a głównie w kuchniach i piekarniach zagnieździły, stają się utrapieniem dla gospodyń. Można je podobno wyniszczyć w krótkim stósunkowo czasie, jeżeli się w miejscach, gdzie przebywają, zakłada obficie łupiny świeże z ogórków. Środka tego używać należy, dopóki są ogórki, a zniszczy się tym sposobem nawet i płód owadów.

Rozmaitości.

* **Król Syamu,** podróżujący obecnie po Portugalii, znajdował się niedawno w niebezpieczeństwie. Wskutek ulewnych deszczów wykoleił się pociąg lizboński, w którym król jechał. Nikt jednak nie został uszkodzony.

* **Deszcze i śniegi we Włoszech.** Z całych Włoch przychodzą wiadomości o olbrzymich deszczach, które w wielu okolicach sprowadziły ciężkie katastrofy. Między Ascoti a Quilanova ruch kolejowy wskutek ulewy i oberwania się chmur, przerwany. Maravalle stoi pod wodą. W Loretto wszelka komunikacya zniszczona. W Ankonie mosty pozrywane. W prowincyi Ravenna wylewy poczyniły wszędzie ogromne spustoszenia; w Corcolia dwa domy runęły a wiele innych grozi zawaleniem. Rzeki Reno i Panaro wylały. W Anconie olbrzymi wylew wód poczynił straszliwe szkody; hr. Ricotti utonął. W Sand Elpidio runęło 14 domów. Od r. 1842 nie było we Włoszech tak strasznej powodzi. Nadto w wielu okolicach szaleje burza ze śniegiem.

* **O potwornych zbrodniach obłąkanego** donoszą z Rotterdamu: Przed kilku dniami stanął przed żołnierzem policyjnym jakiś przyzwoicie ubrany człowiek i żądał by go uwięziono, ponieważ zamordował własne swe dziecko i żonę. Zaprowadzono go na inspektorat policyi, gdzie porobił przejmujące zgrozą zeznania. Nazywa się Karol

Müller, jest zegarmistrzem, liczy lat 32. — Dzisiaj po południu — opowiadał — byłem zajęty w kuchni obieraniem skorupiaków, kiedy, jakiś głos wewnętrzny kazał mi poderznąć nożem gardło mej żonie i dziecku. Inspektor policyi myśląc zrazu, że ma do czynienia z pijanym, lekceważył te zeznania. Zgorszony tem oskarżyciel samego siebie sięgnął nagle do kieszeni i dobywszy z niej dwie pary ludzkich uszu zawołał: — Teraz chyba już mi uwierzycie... Zawiadomiono o wypadku samego dyrektora policyi, który też udał się bezzwłocznie do mieszkania uwięzionego. W kuchni leżały zwłoki żony i dziecka, głowy bez uszu niemal zupełnie odcięte od tułowiu, naokół kałuża krwi. Wyznanie więc tego potwora było prawdziwem, chodzi tylko o to, czy i inne jego zeznania polegają na smutnej rzeczywistości. Z okrutną chełpliwością przyznał się Müller, że zamordował tak samo swego ojca i matkę, że w czasie swych podróży po całym świecie żenił się czternaście razy i wszystkie te nieszczęśliwe ofiary mordował w stanie macierzyństwa. Straszny obraz zwyrodnienia.

* **Odkryte incognito.** Niedawno zwiedzał poważny, dostojnie wyglądający pan z długą, siwą brodą wszystkie osobliwości Sewilli.

— Cóż jeszcze jest osobliwego do widzenia — zapytał swego przewodnika.

— Fabryka tytoniu, escelończyo!

— Dobrze chodźmy do fabryki tytoniu.

Podróżny z zajęciem przypatrywał się urządzeniu fabryki, najdłużej wszakże zabawił w olbrzymiej sali, w której 2200 Sewillanek zajętych było robieniem papierosów. Z błyskawiczną szybkością chwytały tutki, napychały je wonnym tytoniem hawańskim i rzucały już gotowe na stół. Jedna z dziewcząt ze zwykłą u Hiszpanek figlarnością rzuciła kwiat narcyzu. Obcy podniósł go, zbliżywszy się z łagodnym uśmiechem do dziewczęcia dał jej w rękę sztukę monety złotej. W mgnieniu oka dukat obiega wszystkie robotnice podawany z rąk do rąk.

— Per Dios — woła nagle jedna z nich, wszakże tu na monecie jest jego własny obraz.

— Pokaż, pokaż! — cisną się dziewczęta, odczytują z trudem napis i z okrzykiem »el Rey! el Rey!« (król! król!) wybiegają za odchodzącym ze sali. Urzędnicy słupieją. Poznanym z odcisku monety był w ścisłem incognito zwiedzający Hiszpanią, Leopold — król belgijski.

* **Nową wyprawę** do bieguna północnego przygotowuje Sverdrup. Okręt Nansena »Fram« zostanie w tym celu przebudowany kosztem 20,000 talarów, osoby zaś prywatne przyrzekły Svedrupowi dostarczyć funduszów na koszta wyprawy, która wypłynie w czerwcu. Załogę stanowić będzie 16 ludzi, a prawdopodobnie przyłączy się jeszcze kilku uczonych.



Abraham niesie pęk starej odzieży, a ponieważ słońce bardzo grzeje, przeto poci się wielce. Icyk, który niesie w worku gębki, śmieje się z niego do rozpuku.



Wtem zaczęło padać. Gębki nasiąkłszy wodą, stały się ciężkie, Icyk się poci, ledwie je unieść mogąc. Abraham, mówi do Icka: »A nie śmiej sie na drugi raz z czyjej niedoli.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.